ROK CZWARTY.

№ 15.

WARSZAWA
D. 29 Marca
(10 Kwietnia)
1859.

Niedziela
5ta postu,
czyli
Męki-Pańskiej.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnéj
Nr. 1527.

Prenumerata
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie kop. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Błagamy Cię wszechmocny Boże, wejrzyj łaskawie na czeladkę Twoję, niech będzie rządzona szczodrą Twą łaską co do ciała, a potężną obroną przechowana zostanie i na duszy. (Kollekta na Niedzielę piątą postu, czyli Męki-Pańskiej).

O 10ciu Trędowatych.

(Z Ewangelii).

—

Wszakże dziesięciu było uzdrowionych,
„Gdzież drudzy?“ słowa to Chrystusa Pana
Na widok ramion ku niemu wzniesionych
Dziękującego Samarytana.
„A gdzież są drudzy?“ Pewno te wyrazy
Aż w serca nasze godzą bracia moi;
„Zlituj się“ z bólem wołamy sto razy,
A nie dziękujem, gdy się rana zgoi.
O! jak bolesną nam niewdzięczność ludzi,
Skoro nas który ozięble ominie,
Ale cóż, pytam, wzgardę większą budzi,
Nieczułość w bracie, czy niewdzięczność w synie?
Gdy *Uzdrowionych* było tam dziesięciu,
A jeden tylko wdzięczność swą zanucił,
Bracia, co mamy iść dalej z dziewięciu,
Ach! pójdźmy za tym, co się nazad wrócił.

Zemsta ukarana.

Nie są to tak dawne czasy, w których się wypadek ten zdarzył; toć zapytajcie ludzi starszych we wsi Woli, a powtórzą wam słowo do słowa całę historyjkę. Otóż w tej Woli, chłopi z dawien dawna nie robili żadnej pańszczyzny, bo była to i jest wieś skarbowa, przywilejami królów od wszelkiej robocizny uwolniona. W tej tedy wsi kilku z kmieci, powiadają ludzie, było tak bogatych, że każdy dla siebie wioskę mógłby kupić, i być sobie takim panem, jak inni panowie; ale widzicie, że oni tam siedzieli od dziada pradziada i prapra-dziada, a dobrze im się działo i Pan Bóg błogosławił, to każdy z nich nie przymierzając jak kamień jaki, co to na miejscu mchem obrośnie, orał swój zagon, Pana Boga chwalił, sąsiadom przodkował, wychowując dziatwę na takich samych uczciwych i pracowitych

rolników. Czasami który z chłopaków wyleciał i do miasta i poszedł do szkoły, ba nawet i na księdza, ale to było rzadkiem w rodzie, i nie podnosił pychy familijnej, choć, jak ludzie gadają, jeden został biskupem Krakowskim. Ale co nam sięgać tak dalekich czasów! Oto przed trzydziestu jeszcze laty, między tymi kmieciami był jeden nazwiskiem *Kazimierz Pokrzywa*; zamłodu uczył się w Krakowie pdobno na doktora, ale że mu się to sprzykrzyło, więc wrócił na wieś, przywdział sukmanę jak chłop prosty, z początku furmanił, wożąc towary z Warszawy do Krakowa i jak wszyscy mówią, na tem dużo grosza zarobił. Ale w tym czasie, o którym chcę wam rozpowiadać, już siedział na roli jako bogacz, jako mądrala wielki i jako wdowiec z jedną tylko córką Katarzyną, dziewuchą gdyby kalina; a skoro który z miejskich galantów, bo i tych Kasia miała podostatkiem, odezwał się o nią, stary odpowiedział: młoda strasznie mój kawalerze, niech czeka. Moja córka do pracy stworzona, to tak nie przymierzając jak koń: w młodym wieku będzie charował, charował ze dwa lata, a potem fiu! i koniec.

A Kasia, ot zwyczajnie młoda dziewczyna, wesoła jak ptaszek na wiosnę, tańcowała, bawiła się, ale o mężu wcale nie myślała. Ja od tatusia nie odejdę, mówiła, coby oni bezemnie poczęli, na co mi męża, kiedy tatuś lepszy jak najlepszy mąż, a co tatuś, to nie mąż.

Z początku śmieli się z tego wszyscy, myśląc, że to są żarty, że stary Kazimierz dla tego córki nie wydaje, iż mu się kawalerowie nie podobają, albo są biedni, albo rozrzutnicy, albo próżniaki, bo tego nigdy nie zabraknie; ale gdy syn drugiego kmiecia Paprotni, młody dwudziesto-letni, Szymon przysłał swaty, a stary ni w pięć ni w dziewięć to samo, co innym powiedział, że młoda, niezwyczajna jeszcze roboty, cała wieś obruszyła się na niego, a szczególniej też ów Paprotnia stary i młody Szymek. Gadali, odgrażali, wymyślali Bóg wie nieco, a stary Kazimierz kpił sobie z nich i drapał się po głowie.

Niedługo potem, czy prawda czy nie prawda, ale rozeszła się pogłoska, jakoby Kasia polubiła bardzo młodego strażnika z lasów rządowych, że podobno widywali się w borze, że on zachodził kilka razy do chałupy Kazimierza, że Kasi przynosił jagody i ładne chustki, a staremu zwierzyny, i że kto wie co to z tego będzie.

Rozgniewał się tedy bardzo Paprotnia, a osobliwie też Szymek syn jego odgrażał się straszliwie, że tego nigdy a nigdy nie daruje Pokrzywie i grymaśnicy Kasi. Strzelec ów mówili, ma grube pieniądze i podobno wszystkie składa u Kazimierza.

W tym czasie również gromadzie z Woli ubrdało się coś w głowie, że kawał lasu co do rządu należał, powinien bydź ich własny, bo tak gdzieś wyczytano im w nadaniach królewskich. Zwołali tedy starszych ze wsi i dalejże radzić, jakby tu ten las na siebie odebrać, do tej zaś rady należał i stary Kazimierz Pokrzywa jako człek uczony. Rozpatrzył on przedmiot, i jak słońce świeci na niebie, tak powiada, nie macie racyi, a tylko wam głupstwa pogadali, żeby was otumanić i pieniędzy nawydrwiwać. Jedni byli za nim, ale większa część spierała się i spierała, że taki las do wsi powinien należeć. I byłoby się może wszystko na niczem skończyło, gdyby nie stary Paprotnia, który z tem wystąpił:

— Kazimierz, widzicie sąsiedzi, tak gadają, żeby ino gromadzie się sprzeciwiać, i żeby ono strażnik, co się do jego córki zaleca, gospodarował owym lasem.

— Nie plećcie też, nie plećcie mój Pokrzywo, odpowiada, śmiejąc się Kazimierz, a czy to las strażnika, czy co?

— A choć nie jego, to zawsze on w nim gospodaruje, a jakby do wsi należał, to strażnik jużby grosiwa nie mógł zbierać, i do przyjaciół nosić, aniby kawałątka drzewa nie dał; widzicie tak jedno z drugiem.

Żeby to trafił na innego, toby go za taką mowę zamalował i basta, ale Kazimierz znał chłopską naturę i głupotę, więc tylko odrzekł, iż strażnik jakby w tym lesie nie był, to będzie gdzieindziej, a on znowu chwała Bogu ma tyle swego, że go jeszcze stać na kupienie drzewa.

I wyszedł z gromady, nie doczekawszy się końca, gdy tymczasem wszyscy podmawiani i częstowani przez Paprotnię zgodzili się na zrobienie składki i oddanie papierów swojemu doradcy, którýby za tym interesem pojechał do Warszawy.

Gdy na drugi czy trzeci dzień, potem przyszli

do Kazimierza po składkę, powiedział, że nic nie da, do tego mieszać się nie chce, a widząc, że perswazye jego z upornem chłopstwem nic nie poradzą, wyrzekł:

— Pamiętajcie sąsiedzi, żebyście tego nie żałowali, bo się zniszczycie, a nic nie wskóracie; wspomnicie moje słowa!

Niedługo potem, bo jakoś na początku zimy, czy pono około Matki Najświętszej Gromnicznej, wójt gminy nakazał wielką obławę. Zima była tęga, wilków namnożyło się tyle po okolicy, że przyłaziło to bestyjstwo do wsi i nietylko gęsi, bydło niszczyło, ale i na ludzi się porywało; nie było więc innej rady, jak zebrać obławę.

Ale muszę wam też jeszcze powiedzieć, że po owej naradzie gromadzkiej, wszyscy prawie odsunęli się od starego Kazimierza, szczególniej też Paprotnia wygadywał niestworzone rzeczy. Tymczasem ów strażnik bywał coraz to częściej we wsi, czasem na święta jakie dwa albo trzy dni w chałupie Kazimierza przesiedział, a jak zazdrośne sąsiadki gadały, już o weselu myślano, bo stary Kazimierz skupywał w mieście różne drogie ubrania dla Kasi, a strażnik swój dom reparował, bielił, jakby na przyjęcie młodej żony.

Wiedział o tem wszystkiem młody Szymek Paprotnia, i strasznie zesmutniał; zrobił się ponurym, zamyślonym, opryskliwym, a pił i pił gorzałczysko, że ludzie myśleli, iż rozpił się na nic.

W przed-dzień owej obławy rozochocił się jeszcze bardziej, poił znajomych parobków ze wsi i gadał, że okrutnie jest zły i nazajutrz będzie mordował wilki z całą zajadłością.

Szymek nie miał swojej fuzyi, ale pożyczył sobie od owczarza z sąsiedniej wioski, narobił kul, przysposobił naboje i choć dobrze strzelał, to jeszcze ze dwa dni wprzódy wprawiał się do celu.

O świcie kilku set ludzi, wielu panów z fuzyami i psami, cała służba leśna, wójt gminy, urzędnicy z miasta i kto tylko nie chciał, ruszyło do boru. Jakkolwiek zima była tęga, ale podówczas śniegu wcaleś nie dostrzegł, a las był gęsty, mieszany i twarde i miękkie drzewo, oparzelisk mnóstwo, a krzaki i zarośla prawie wszędzie.

Tych, co mieli fuzye rozstawiono po stanowiskach. Kazimierz ojciec Kasi, choć tego dnia był czegoś nieswój, ale poszedł także z fuzyą do lasu, bo lubił bardzo polowanie i strzelał doskonale. Naturalnie, że strażnik już prawie jako zięć jego dał mu bardzo wygodne stanowisko koło drogi, sam obok niego stanął, i nim ruszyli ludzie od brzegu, napędzając zwierza, oni palili sobie fajki, gawędząc to o tem, to owem. Kazimierzowi poszczęściło się bardzo, ubił wilczycę, trzech lisów i dwa zające; kontent był tedy, śmiał się i żartował, częstując strażnika przysmakami, które mu Kasia do torby pokładła.

— Ej! ojcze Kazimierzu, albo już pójdźmy, mówi do niego strażnik, kiedy na dworze już trochę ściemniać się poczęło.

— Nie, nie, mój Stachu, jeszcze trochę zaczekajmy; psy gonią, muszę zabić jakiego chociażby i lisa... Widzisz i wilka teraz lepiej brać na cel, bo ślépie mu się świecą, a słyszę psy grają gdyby jaka muzyka.

W rzeczy samej, ledwie tych słów domówił, zaleciało coś między krzakami; więc strzelec czemprędzej pobiegł na swoje stanowisko, a Kazimierz wytężył wzrok w tę stronę, skąd szelest nadchodził, obejrzał skałkę u fuzyi i słuchał. Lecz wkrótce szelest ustał, jakby się coś zatrzymało. Kazimierz patrzał i czekał, myśląc sobie: zaczaiłeś się bratku, ale ty tu wyjedziesz zaraz, nim tam obława nadejdzie. Ale słuchał jeszcze z kwadrans, a dokoła cichutko tak, że zobaczył nawet iskry od krzesiwka, którym strażnik wydobywał ogień dla zapalenia porcelanowej fajki.

Nareszcie znowu coś się ruszyło, ale tym razem naprawdę psy zaczęły coraz bliżej ujadać; Kazimierz już widzi coś czarnego cwałującego koło drogi: tuż tuż naprzeciwko przed nim sadzi wilczysko zzjajane i zmierza ku drodze. Puszczę go, myśli sobie, między drzewami nie trafię, a niechno wpadnie na drogę, to już mój.

Jakoż wypalił, ale zamiast wycia drapieżnego zwierza, rozległ się gwałtowny krzyk strażnika.

— O rany Boskie, zabity!

Kazimierzowi włosy powstały na głowie, jak szalony rzucił się ku jego stanowisku, i wystawcie sobie jego rozpacz i okropny przestrach,

gdy ujrzał przyszłego swego zięcia tarzającego się we krwi własnej. W pierwszej chwili nie mogąc się opamiętać, latał jak szalony koło niego, krzyczał w niebogłosy o ratunek, a widząc, że nieszczęśliwy już tylko jęczy przeraźliwie, rzucił się ku niemu, chcąc własnem tchnieniem uciekające życie wlać napowrót.

Wkrótce zbiegło się mnóstwo ludzi i strzelców, przybiegł i wójt gminy, ale wszelki ratunek okazał się już niepotrzebnym, albowiem strażnik trafiony w same piersi skonał na rękach Kazimierza.

Kto stał koło niego, kto strzelał, jak to się zrobiło, zaczęli rozpytywać się dokoła, szukając winnego, a że ktoś z obecnych szepnął, że Kazimierz ze strażnikiem byli w dobrej komitywie, że podobno jeden drugiemu pieniędzy pożyczał, więc wójt gminy dalejże do starego Kazimierza wiązać, pod straż i do wsi.

Możecie sobie wystawić nieszczęśliwą Kasię, kiedy się wieczorem o całym wypadku dowiedziała; biedaczka straciła prawie zmysły i zanosząc się od płaczu, biegała tylko po wsi, krzycząc okropnie.

Natychmiast wójt gminy kazał zrobić rewizyę w chałupie Kazimierza i rzeczywiście w skrzyni znaleziono dwa tysiące złotych pieniędzy w osobnym woreczku z napisem: Stanisława strażnika.

Podejrzenie więc padło na Kazimierza, a choć on się tłumaczył, że w inną stronę strzelał, że Stach miał być jego zięciem, że on kochał go jak własne dziecko, nic nie pomogło; sąd zjechał, zaczęli prowadzić śledztwo i Kazimierza jako podejrzanege okuli w kajdany i odprowadzili do kryminału. Pochowali strażnika, a Kasia, której oczy prawie się już wypłakały, z największą niby spokojnością oddała mu ostatnie pożegnanie i wróciła do swojéj chałupy sama jedna.

Upłynął od tego czasu miesiąc jeden i drugi i trzeci, upłynął rok, a Kazimierza nie wypuszczono z aresztu. Kasia gospodarowała sama jak mogła, ale powoli dobytek marniał, budynki się psuły, bydło niszczało, a o zamęściu ani słyszeć nie chciała. Choćby do końca świata, to na tatusia czekać będę i będę, mówiła, i nikt prócz Szymka Paprotni, który znów zaczął chodzić koło niej, już jej więcej nie napastował.

Kiedy już rok minął od wypadku tego, a o Pokrzywie ani słychu we wsi nie było, Kasia zdesperowana udała się do wójta gminy i oddawszy na jego opiekę całą zagrodę już dobrze podteraną, znikła ze wsi.

Różnie różni o tem gadali: że widziano ją w Krakowie, że podobno złożyła grube pieniądze w jakimś klasztorze i tam ją do usługi jednej zakonnicy przyjęto; ale to były tylko gadaniny, ot zwyczajnie jak we wsi.

Tymczasem w sądach badanie się ciągnęło powoli, stary Pokrzywa siedział w więzieniu, oczekując zmiłowania Bożego i nietyle się trapił swojem położeniem, ile śmiercią poczciwego strażnika i losem córki, o której żadnej wieści nie mógł dostać. Podejrzenie było nań wielkie, zwłaszcza, że świadkowie podmówieni przez zagniewanych ojca i syna Paprotniów dużo nagadali o nim złego, a mianowicie co do jego bogactwa, bo jak mówili, w tak ciężkich latach nie mógł dobrym sposobem i uczciwie tyle pieniędzy nagromadzić. Biedny więzień modlił się tylko po całych nocach, a ufny w swoję niewinność, zawsze odpowiadał, że nie on zastrzelił i nie on.

Nareszcie zapadł wyrok, skazujący go na kilka lat więzienia. Ale sąd wyższy uznał potrzebę dodatkowego śledztwa, które gdy wykazało, że kula w ciele zabitego strażnika znaleziona, była większą od lufy fuzyi obwinionego Pokrzywy, niewinność jego wyrzeczoną została i on na wolność puszczony.

Jako ptaszę po kilku latach więzienia w klatce wybiegnie wesoło, szczebiocząc, na ten świat Boży, tak też i stary Pokrzywa nie pytając, że to dzień był słotny, że on osłabiony i zgłodniały, odrazu puścił się w drogę, aby tylko jak najprędzej zobaczyć ukochaną Kasię i otrzeć jej łzy boleści. Ale biedaczysko nie obrachował się z nogami i siłami; uszedłszy milę, zupełnie ustał i musiał prosić przejeżdżających, żeby go do jakiej wsi podwieźli. Nie mając ani grosza pieniędzy, Pokrzywa kiedyś zamożny kmieć, teraz musiał ode wsi do wsi wlec się o proszalnym chlebie i ledwo piątego czy szóstego dnia dostał się do wsi rodzinnej.

Mój ty Boże, jakże mu też serce niespokojnie biło, kiedy wieczorem ujrzał zdaleka

swój domek stojący na wzgórzu, a w oknach jasne światło. Przyspieszył kroku o ile mógł i cichaczem podeszedł ku wrotom.

Lecz jakże się zdziwił, zastawszy całe podwórko zapełnione furmankami, a z domu wylatujące krzyki śmiechu i radości, i skoczną muzykę i tańce i wiwaty.

— Mój gospodarzu, zapytał furmana, co to tu się dzieje?

— A cóż wy to nie tutejsi czy co, że nie wiecie? Toć to wesele.

— A czyje? spyta, ledwie stojąc na nogach Kazimierz.

— Szymka Paprotni, syna jednego kmiecia naszego, co się żeni z córką ekonomską z tamtej wsi.

— I to jego chałupa? pyta, ochłonąwszy trochę Pokrzywa, bo myślał z początku, że jego Kasia idzie za niego.

— Ha! jużci podobno i jego; byłać to ona kogo innego, ale tamten zabił strażnika na obławie, poszedł do kryminału.

— A córka jego, gdzie córka? krzyknął, zapomniawszy się stary Kazimierz.

— Ej, mnie się zdaje, że wyście go znali, mówi parobek, przypatrując się do światła nie znajomemu.

— Ależ córka jego?

— Kaduk ją ta wie, gdzie uciekła ze wsi już pono rok temu, wójt chałupę za podatki sprzedali, a Szymek ją kupił i basta.

Nie pytał już więcej stary Pokrzywa, tylko sobie westchnął głęboko i zapłakawszy, odszedł. Przez całą noc włóczył się biedaczysko po wsi i bał się wejść do jakiej chałupy, żeby go nie poznali; więc zmartwiony zaszedł na wiejski cmentarz, pomodlił się na grobie swych rodziców i żony, a dowiedziawszy się w sąsiedniej wsi, że to wszystko prawda, co mu parobek rozpowiadał, przeżegnał się i poszedł w świat, gdzie go oczy poniosą.

Tymczasem we wsi zapomniano wkrótce, że żył jaki Pokrzywa, że miał kmiecą rolę i córkę, tylko stare kobiety przy kądzieli rozpowiadały sobie i dzieciom o owym wypadku na obławie, o zabiciu strzelca Stanisława i t. p. szczegółach, dodając swoje i poswojemu, że Szymkowi jakoś nie wiedzie się na gospodarstwie cudzem, bo podobno kupił po nim z krzywdą chałupę i jakoś za liche pieniądze wziął duży majątek. Marniało też na prawdę to jego gospodarstwo; nieurodzaj, pomór bydła, grad i inne klęski gospodarskie szły rok za rokiem koleją, a przytem choroba jego i żony w kilka lat dopełniły zniszczenia. Stary jego ojciec również zmarniał i wyszedł na komornika, a tak, mówili ludzie, cudza krzywda na dobre im nie wyszła.

—

Było to na wiosnę, lecz w dziesięć lat potem, akurat w sam dzień nieszczęśliwej śmierci strażnika Stanisława. Teraz zamiast śniegu już słonko cieplej ogrzewało ziemię, jaki taki brał się za pług i dalej na pole, skowronki pokazywały się na roli, a i ludziom po ciężkiej zimie weselej było na sercu.

Na tem miejscu, gdzie zabity został strażnik niespodziewanie zeszło się dwoje ludzi: mężczyzna trochę z chłopska, trochę z miejska ubrany, mógł mieć około lat 70 wieku, bielutki jak gołąb', ale rzeźwy, rumiany jeszcze, kobieta zaś choć młoda, bo może trzydzieści lat miała, ale blada, zmizerowana, z dzieckiem na ręku, ani spostrzegła, że ów staruszek bardzo jej się zza krzaka przyglądał.

— Kasiu, Kasiu! zawołał na raz staruszek z ukrycia.

— O Matko Najświętsza, a to kto? krzyknie, zrywając się z miejsca cała przestraszona, i porwawszy dziecko, zaczęła uciekać.

— Kasiu! krzyknie wtedy zastępując jej drogę staruszek, córko moja, nie poznajesz ojca?

Wrzeczy samej byli to Pokrzywa stary i córka jego Kasia, którzy szczególniejszem zrządzeniem Bożem tego dnia wybrali się na miejsce zabójstwa strażnika. Dopieroż było między nimi uciechy i łez i płaczu i ściskań i całowań! Pokrzywa opowiedział jej swoje wypadki, jak go uwolnili z kryminału, jak dostał potem miejsce ekonoma, jak się dorobił grosza znowu i przybył do swojej wsi zakończyć żywot na swoich śmieciach. Ona mówiła znowu, że uciekłszy ze wsi, w której bez ojca żyć nie mogła, poszła do klasztoru do Krakowa, i ztamtąd zakonnica wydała ją za mąż za stelmacha, jak prędko dorobili się majątku, jak Pan Bóg dał im dwoje dzieci, ale przed trzema miesiącami odebrał jej męża, który umarł i ją sierotą zostawił.

Kiedy się tedy nagadali i nacieszyli z sobą, pojechali do wsi.

Naturalnie, że nikt ich nie poznał. Pierwszem uczuciem starego Pokrzywy była chęć odkupienia napowrót swej zagrody, a gdy się dowiedział w karczmie, że Szymek Paprotnia jest chory, że cały dobytek zmarniał, że dzieci i żona wymarły, a ojciec, ten niegdyś kmieć bogaty przypasawszy torbę i wziąwszy kij w rękę, wyszedł na żebraka, łzy zakręciły się w oczach Kazimierzowi, i niewiele myśląc, ruszył do jego chałupy.

Jak przed kilkunastu laty, tak i teraz na podwórku opustoszałej chałupy zastał mnóstwo ludzi, tylko nie wesołych ale z miną zasmuconą. Właśnie przyjechał ksiądz proboszcz z Olejem świętym do chorego Szymka. Przed kilku dniami rąbiącego drwa w lesie przywaliła sosna, i od tej chwili w okropnych męczarniach konał Szymek Paprotnia.

Skończyła się spowiedź święta, ksiądz proboszcz cały wzruszony wychodził z izby, gdy w progu spotkał się z Kazimierzem; stary proboszcz miał dobrą pamięć, poznał Pokrzywę i rzekł:

— Idźcie Kazimierzu do niego, idźcie, on was najbardziej potrzebuje.

Zdziwiony tem Pokrzywa wszedł do izby, gdzie leżał konający. Mój ty Boże jakaż tam była nędza! kilka pęków słomy rozrzuconych w kącie, stara sukmana, którą przykryto chorego, konewka z wodą, otóż wszystko, co stanowiło majątek owego Szymka, syna najbogatszego kmiecia we wsi.

Za Kazimierzem weszło kilka ciekawych osób—Szymonie, zapytał Pokrzywa, czy poznajesz mię?

Na ten głos zatrząsł się chory i obróciwszy z ciężkością głowę, spojrzał na mówiącego. A jak się popatrzył, tak łzy mu stanęły w oczach, i nie mówiąc ani słowa, wyciągnął rękę ku niemu.

Wtem z drugiego kąta izby pokazuje się staruszek wynędzniały, łachmanami okryty; byłto ojciec Szymka, stary Paprotnia.

— Wszelki duch Pana Boga chwali, toć wy Kazimierz Pokrzywa, rzeknie, przypatrując się mocno przybyłemu.

— Tak, ja jestem.

— Boże wszechmogący, wyjąknął chory Szymek, wielkie są twoje wyroki. Kazimierzu! zawołał głośniej, unosząc się z ciężkością na posłaniu, Kazimierzu daruj mi, przebacz, ja zabiłem strażnika!

Słowa te jakby piorunem raziły wszystkich obecnych.

— Moje życie niedługie, rzeknie znów Szymek, pogodziłem się z Panem Bogiem, On mi przebaczy, jeżeli wy mi przebaczycie Kazimierzu.

— Przebaczam, przebaczam! zawoła rozrzewniony Kazimierz, chwytając go za rękę, niech ci Bóg nie pamięta mej krzywdy, jak ja jej zapominam.

Szymek tylko westchnął, oczy mu się zamgliły śmiertelną bladością, upadł na posłanie i skonał.

Kazimierz oddał mu z należytą przyzwoitością ostatnią przysługę, sprawił mu pogrzeb, a gdy już wszystko skończono, kupił od wierzycieli nieboszczyka Szymka dawną swoję chałupę, wziął na łaskawy chleb starego Paprotnię ojca Szymona, sprowadził córkę z Krakowa, i dotąd żyje tam jeszcze poważany od wszystkich jako ojciec i patryarcha wioskowy. Synek Kasi już dzisiaj dorosły chłopak, wyręcza dziadka w polu i oborze, a Paprotnia prawie zgrzybiały dzień w dzień chodzi na cmentarz i modli się na grobie syna i na grobie nieszczęśliwego Stanisława strażnika, który zginął marnie tylko przez zazdrość Szymka, a które to groby leżały obok siebie, bo tak chciał Szymek, jakby na pokazanie, że śmierć wszystkich połączy i zbójcę i zabitego i na jeden sąd wieczny powoła.

Trzcina cukrowa.

(Dokończenie).

Owi zatem koloniści, otrzymany sok trzciny gotują w wielkich panwiach, (1) zostawiają go przez jakiś czas, żeby się ściął w kryształy, i tak skrystalizowany, jeszcze nie czysty pakują w beczki i do Europy okrętami sprowadzają. Miliony centnarów przychodzi corocznie takiego cukru; tu go rozpuszczają w czystej wodzie, gotują w panwiach, czyszczą czyli klarują przydając do niego węgle

(1) Wielkie kotły płaskie do parowania.

utarte na proszek ze spalonych kości, tudzież krew bydlęcą; wyczyszczony i gotowaniem należycie zgęszczony nalewają w gliniane formy, takie, jak są głowy cukru, a w nich spokojnie zostawiony krystalizuje się czyli krzepnie.

Z każdego waru otrzymany cukier nie wszystek jest jednakowo piękny, czysty i smaczny, nie wszystek też sok krystalizuje się, ztąd powstają różne gatunki cukru i różne jego ceny. Piękny i czysty cukier puszczają do handlu, mniej zaś czysty jeszcze rafinują. Pewna część cukru zetnie się wprawdzie w drobne kryształki i ziarnka, ale te się z sobą nie trzymają, tylko stanowią pewien rodzaj piasku czyli mączki zwanej pospolicie *faryną*, która też bywa mniej lub więcej biała i czysta i ztąd po różnej cenie się sprzedaje.

Z soku niekrystalizowanego, zwanego *syropem* wyrabiają w kolonijach europejskich zamorskich *rum* czyli *arak*, którego też ogromną ilość do Europy sprowadzają.

Od najdawniejszych czasów, jak tylko cukier zaczął być używany, (bo poprzednio u wszystkich ludów zastępował go miód od pszczół), wyrabiano go z samej tylko trzciny cukrowej. Dopiero od lat stu zaczęto się domyślać, że i z innych roślin, mających sok słodki można cukier wyrabiać; szczególniej też robiono próby na burakach, które to próby, jak wiadomo, najpomyślniejszym uwieńczone zostały skutkiem. Już dziś we wszystkich krajach europejskich taką ilość cukru z buraków wyrabiają, że wkrótce obejdziemy się zupełnie bez cukru trzcinowego zamorskiego. Wdzięczność należy się tym, którzy ten wynalazek udoskonalili i w kraju go upowszechniają, mniej bowiem wyjdzie miljonów za granicę, a więcej ich zostanie w kraju. Dawniej, więcej od nas kupowano zboża za granicę, więcej przeto mieliśmy pieniędzy na cukier zagraniczny; teraz mniej zboża od nas wychodzi za granicę, bo narody obce same je u siebie uprawiają. I my więc podobnie róbmy i uprawiajmy buraki, wyrabiajmy cukier, abyśmy się bez sprowadzenia go z zagranicy obyli. Zyska na tem cały kraj w ogólności, zyskają obywatele, właściciele fabryk, zyskają i włościanie, bo im się otworzy nowy odbyt na ich płody, to jest na buraki, które już wielu do fabryk dostarcza, i gotowe za nie pieniądze bierze.

Mikołaj Rej.

W roku 1505 w miasteczku Żorawnie nad Dniestrem, urodził się ze Stanisława *Reja* i jego małżonki Herburtówny z domu, syn, któremu imie dano Mikołaj. Pieścili go rodzice zmłodu jako jedynaka, pieścili go nawet kiedy już dobrze podrósł. Przyjaciele i krewni patrząc, że młody Mikołajek nic się nie uczy, namówili ojca, że go oddał do pobliskiej szkoły. Ale chłopak pieszczony, bąki tylko zbijał; po dwóch latach odebrał go ojciec, trzymał w domu, posłał do Lwowa, potem do Krakowa, a tyle było korzyści, że po sześciu latach nauki ledwie się nauczył czytać i pisać. Sędziwy w latach ojciec wziął go do domu, a Mikołajek wyrósł na dużego chłopa, bo już 18 lat liczył. Tu, jak dawniej nic nie robił, tylko łapał płotki, zbierał orzechy, chwytał kaczki podloty na błocie, albo młode gołębie i wiewiórki, wszystko pchał w zanadrze, wesoło wracając do ojcowskiego domu. Krewniaczki otaczali go zaraz wkoło, wytrząsali z onej koszuli, a widząc co za pazuchą dochował, wołali radośnie, klaszcząc w ręce: Nie ma jako nasz Mikołajek, nie zależyć ten na starość grusz w popiele. Stary ojciec się cieszył z syna, a Mikołaj śmiał się wesoło. Przyjaciele widząc, że tak do niczego się nie bierze, namówili starego Reja, że go posłał do stryja, aby go ten w świat wyprawił. Kupiono więc mu kitajki na żupan; Mikołajek, który zręcznie łowił brogiem wrony, kitajkę ową w kawałki pociął, narobił choręgiewek i te ponawiązywał wronom na szyi, to do ogona, pod skrzydła i puszczał żywcem. Te wkrótce wygnały wszystkie inne wrony i kawki, że szkody w gumnach nie czyniły; ale Mikołajek w świat nie pojechał, czekał długo na ojca, który mu drugą kitajkę kupił i oporządzonego w 20 roku życia wysłał na dwór wielkiego pana, wojewody Sandomierskiego Andrzeja Tęczyńskiego. Pod pilnem jego okiem Mikołajek jakby się odrodził; musiał pisywać listy, czytać odebrane, powoli zaczął się uczyć łaciny. Już za-

smakowawszy w pracy i nauce, jeżeli dzień poświęcał zabawie, za to w nocy pisał i czytywał. Osiadł w Krakowskiej ziemi, zbudował sobie osadę nazwaną od rodzinnego herbu *Okszą*, w niej wystawił piękny kościół, a ożeniwszy się z siostrzenicą arcy-biskupa Rożego, w życiu obywatelskiem usługami dla kraju, w domowem dowcipem i wielu pismami zasłynął. Król Polski Żygmunt Iszy, równie jak królowa Bona radzi go widzieli na dworze, jak potem ich syn król Zygmunt-August. Rej, sam dowcipny, łubił ludzi dowcipnych. Gdy raz jechał z Łukaszem z Górki kasztelanem, przyjechawszy do wsi Łęk pod Krosnem, ujrzawszy rzeźwego chłopka krakowiaka, zapyta go:

— A kto tę wieś trzyma?

Kmieć. Ziemia a płoty.

Rej. A któż tu panem?

Kmieć. Ten, co ma najwięcej pieniędzy.

Rej. A któż tu starszym?

Kmieć. Jest tu baba, co już jej przeszło sto lat.

Rej. A któż tu najwyższym?

Kmieć. Lipa nad kościołem, co oto ją widać.

Rej. Dalekoż południe?

Kmieć. Nie szło tędy miły panie, nie wiem, jak daleko może być.

Rej. Widzi mi się chłopie, weźmiesz w gębę.

Kmieć. Nie wezmę panie, bom nie pies, wolę w rękę jako człowiek.

Rej uradowany z dowcipu chłopka hojnie go udarował.

Lubił polowanie i łowienie ryb, w stawach swoich miał ich dostatek. Sąsiad ujrzawszy, że sieć zaciągają, a Rej siedzi na brzegu, posyła chłopaka z naczyniem na ryby, aby ukłon oświadczył, co było zarazem przymówką o ryby. Rej uchylił czapki i odpowiedział: ukłon za ukłon, pieniądze za ryby. Pomimo że wówczas było modą odbywać podróże za granicę, Rej nigdzie się nie ruszył, ale siedział, wedle własnego jego wyrażenia, na swojej dziedzinie.

Tłumaczył psalmy Dawidowe, pisał wiele pieśni pobożnych, i światowych; najważniejszym z dzieł jego jest *Zwierciadło*, w r. 1567 drukowane, w którem zachował nietylko pamięć domowego życia ówczesnych polaków, ale nadto i języka, jakim mówili. Dzieło to cechuje czysta wiara, wysoka moralność. Wszędzie Rej okazuje marność życia doczesnego, na ziemi, a przyszłość w innym lepszym świecie; dlatego radzi, aby tak się sprawować, żeby zawsze być gotowym, gdy śmierć zajrzy w oczy. Miej stały umysł i stałe serce, mówi, a o szczęście nie dbaj. Bóg nad cnotliwymi zawsze czuwa i rozciąga swoję świętą opiekę.

Równie w prozie jak w wierszu, zawsze piórem Reja kierowała myśl moralna; przywiedziem tu jego wierszyk „do zegara“.

Tłuczże miły zegarze, by w każdej godzinie
Miałby się każdy baczyć, jako mu czas płynie;
Ale byś tłukł najbardziej, przed się chwała Bogu
Nie odstąpimy żaden zwykłego nałogu,
Nie pomnąc, iż nam prawie z wodą czasy płyną,
A wnet gorsze nastaną, skoro dobre miną.
Bujać też sobie w lesie jelonek ubogi,
Ale się nie obaczy, gdy mu strącą rogi.

Przez skromność na żadnem dziele nie kładł swego nazwiska, mówiąc: że jako nieuczonemu, miotać mi się jako z motyką na słońce nie godzi. Wielką miał łatwość wierszowania; to też na prośby przyjaciół i znajomych pisał wiele pieśni i wierszy, które zaginęły. Dowcipem bawił królów, panów i dworzan, lubo sam żył niepodlegle i nie służył nikomu. Lubił zebrania i uczty, znał go kraj cały; to też gdzie Rej miał zjechać, gości jak nabito. Młodzież otaczała go zawsze, słuchając równie ochoczo jego dowcipów, jako i moralnych nauk. Kiedy już w sędziwych latach czytano na jedném zebraniu śliczną pieśń młodego *Jana Kochanowskiego* nadesłaną z Paryża, Rej po wysłuchaniu jej uważnie, wyrzekł głośno, że mu już pierwszeństwa ustąpić musi. Umarł w roku 1568, mając lat 63 wieku. Rej słusznie jest nazwany *ojcem literatury polskiej*, bo on pierwszy oryginalnie pisał i dzieła swoje w ojczystym języku ogłaszał.

SPROSTOWANIE.

W numerze 9ym Czytelni r. b. na stronnicy 72, w wierszu 7, zamiast Madecki ma być *Radecki*.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 24 marca (5 kwietnia) 1859 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański*.